

VIOLETA



ISABEL

ALLENDE

PRZEŁOŻYŁ

GRZEGORZ OSTROWSKI

MARGINESY

Violeta

COPYRIGHT © Isabel Allende, 2022

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Grzegorz Ostrowski

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2023

Nicolasowi i Lori,
moim podporom na stare lata
Felipemu Berriosowi del Solar,
mojemu drogiemu przyjacielowi

*Tell me, what is it you plan to do
With your one wild and precious life?*

Powiedz, co zamierzasz wreszcie robić
Z twoim jedynym zwariowanym i cennym życiem?

MARY OLIVER

LETNI DZIEŃ (PRZEŁ. CZESŁAW MIŁOSZ)

Santa Clara, wrzesień 2020

Najdroższy Camilo,
spisuję te wspomnienia, by pozostawić Ci jakieś świadectwo, sądzę bowiem, że w dalekiej przyszłości, kiedy będziesz bardzo stary i pomyślisz o mnie, pamięć może Ci płać figle, bo zawsze byłeś roztargniony, a ta wada pogłębia się z wiekiem. Moje życie zasługuje na to, by je opowiedzieć, z powodu nie tyle moich zalet, ile grzechów, o które nawet mnie nie podejrzewasz. Opowiem Ci o nich. Przekonasz się, że to istna powieść.

Jesteś w posiadaniu listów zawierających opis całego mojego życia, może z wyjątkiem kilku grzechów, o których wcześniej wspomniałam, musisz jednak spełnić swoją obietnicę i spalić je, kiedy umrę, bo są zbyt sentymentalne, a często wręcz złośliwe. Niech to streszczenie zastąpi tamtą przesadnie obfitą korespondencją.

Kocham Cię najbardziej na świecie.

Violeta

I. WYGNANIE

1920-1940

Przyszłam na świat w pewien burzowy piątek roku 1920, roku zarazy. Wieczorem w dniu moich narodzin nastąpiła przerwa w dostawie prądu, jak to zwykle bywało w czasie burzy, zapalono więc świece i lampy naftowe, które zawsze były pod ręką na wypadek takich awarii. María Gracia, moja matka, poczuła skurcze – dobrze jej znane, wszak urodziła już pięciu synów – i z rezygnacją przyjęła cierpienie, pogodzona z tym, że wyda na świat kolejnego chłopca, z pomocą sióstr, które już wcześniej towarzyszyły jej w takich momentach, nie tracąc przy tym głowy. Lekarz rodzinny od kilku tygodni pracował bez wytchnienia w jednym ze szpitali polowych, wydało im się więc nierozsądne wzywanie go do czegoś tak prozaicznego jak poród. Przy poprzednich rozwiązaniach mogły liczyć na akuszerkę, za każdym razem tę samą, ale jako jedna z pierwszych padła ofiarą grypy, a one nie znały żadnej innej.

Matka doszła do wniosku, że przez całe swoje dorosłe życie była w ciąży, leżała w połogu albo dochodziła do siebie po samodzielnym poronieniu. Jej najstarszy syn, José Antonio, skończył siedemnaście lat, co do tego akurat nie miała wątpliwości, bo urodził się w roku, gdy doszło do jednego z najsilniejszych trzęsień ziemi, które obróciło w gruzy pół kraju* i pochłonęło tysiące ofiar, nie pamiętała natomiast dokładnie wieku pozostałych dzieci ani liczby swoich niedonoszonych ciąży. Każda z nich na kilka miesięcy wyła-

* Autorka konsekwentnie unika nazwy Chile, wiadomo jednak, że pisząc „kraj”, „nasz kraj” albo „u nas”, ma na myśli swoją ojczyznę (wszystkie przypisy w niniejszym wydaniu pochodzą od tłumacza).

czała ją z normalnego życia, a poród zawsze oznaczał długotrwałe wyczerpanie i melancholię. Przed ślubem była najatrakcyjniejszą panną na wydaniu w stolicy*, smukłą, obdarzoną niezapomnianą twarzą o zielonych oczach i delikatnej skórze, ale zbyt częste cięższe zdeformowały jej ciało i przygasiły ducha.

Teoretycznie kochała swoje dzieci, ale w praktyce dla własnej wygody wolała trzymać je na dystans, albowiem energia rozpierająca bandę chłopaków wprowadzała bitewny zamęt do jej małego kobiecego królestwa. Kiedyś wyznała swojemu spowiednikowi, że to jakaś klątwa szatana skazała ją na rodzenie synów. Jako pokutę zadał jej odmawianie różańca, codziennie przez okrągłe dwa lata, i przekazanie okazałej darowizny na remont kościoła. Mąż zakazał jej chodzenia do spowiedzi.

Pod czujnym okiem Pilar, mojej ciotki, Torito, chłopak do wszelkich posług, wszedł na drabinę i przywiązał sznury (trzymane w szafie na takie okazje) do dwóch stalowych haków, które sam kiedyś umocował w suficie. Matka, ubrana w długą koszulę nocną, klęczała zawieszona na przywiązanych do rąk sznurach i parła przez jakiś czas, w jej odczuciu trwający wieczność, miotając straszliwe przekleństwa, których zwykle nie używała. Ciotka Pía przykucnęła między jej nogami, gotowa przyjąć noworodka, zanim ten dotknie podłogi. Wcześniej przygotowała napary z pokrzywy, piołunu i ruty, zalecane po porodzie. Łoskot burzy uderzającej w żaluzje i odrywającej fragmenty dachu zagłuszył jęki i długi końcowy wrzask rodzącej, kiedy wysunęłam głowę. Zaraz potem moje pokryte śluzem i krwią ciało wyślizgnęło się ciotce z rąk i spadło na drewnianą podłogę.

– Ależ z ciebie niezdara, Pío! – zawołała Pilar, podnosząc mnie za nogę. – To dziewczynka! – dodała zdumiona.

– Niemożliwe, sprawdź dobrze – wymamrotała matka słabym głosem.

– Przecież ci mówię, siostró. Nie ma siusiaka – odparła ciotka.

* Chodzi o Santiago de Chile. Nazwa stolicy Chile również ani razu nie pojawia się w tekście.

Tamtego wieczoru ojciec wrócił do domu późno, po kolacji i kilku partyjkach mariasza w klubie. Od razu skierował się do swojego pokoju, by zmienić ubranie i na wszelki wypadek natrzeć dłonie alkoholem, zanim przywita się z rodziną. Poprosił służącą o kieliszek koniaku, a jej nawet nie przyszło na myśl, by zakomunikować mu nowinę, bo nie przywykła rozmawiać z chlebobawcą, po czym poszedł przywitać się z żoną. Już w progu po zapachu krwi odgadł, co się wydarzyło. Zastał swoją matkę odpoczywającą w łóżku, w czystej koszuli, czerwoną na twarzy, z włosami mokrymi od potu.

– Dlaczego nikt mnie nie uprzedził? – zawołał, pocałowawszy żonę w czoło.

– Jak miałyśmy to zrobić? Kierowca był z tobą, a żadna z nas nie wyszłaby z domu w taką burzę, nawet gdyby przepuścili ją twoi uzbrojeni najmici – odparła Pilar niezbyt uprzejmym tonem.

– To dziewczynka, Arsenio. Wreszcie masz córkę – wtrąciła Pía, pokazując mu trzymane na rękach zawiniątko.

– Bogu niech będą dzięki! – mruknął ojciec, lecz uśmiech zniknął mu z twarzy na widok istoty, która wychyliła się spod fałd szala. – Ma śliwę na czole!

– Nie przejmuj się. Czasami dzieci takie się rodzą, ale po kilku dniach wszystko wraca do normy. To znak, że będzie inteligentna – wymyśliła na poczekaniu Pilar, byle nie przyznać, że jego córka wylądowała na podłodze.

– Jak ją nazwiecie? – zapytała Pía.

– Violeta – odparła stanowczo matka, nie dając mężowi czasu na zabranie głosu.

To znamienite imię nosiła prababka ze strony matki, która na początku dziewiętnastego wieku wyhaftowała godło na pierwszej fladze niepodległego kraju.

Pandemia nie zaskoczyła mojej rodziny. Kiedy tylko rozeszły się wieści o ludziach w agonii, którzy pełzają po ulicach w porcie, i o niepokojącej liczbie fioletowych ciał w kostnicy, Arsenio del Valle, mój ojciec, wyliczył, że plaga dotrze do stolicy nie później niż za

kilka dni. Ponieważ spodziewał się jej, zachował spokój. Poczynił też odpowiednie przygotowania z szybkością właściwą wszystkim jego działaniom, przydatną w interesach i w robieniu pieniędzy. Jako jedyny z braci był na najlepszej drodze do odzyskania statusu człowieka zamożnego, którym cieszył się mój pradziadek, a który mój dziadek po nim odziedziczył, lecz z czasem zaczął go tracić, bo miał za dużo dzieci i okazał się zbyt uczciwy. Z piętnastki jego potomków żyło jedenaścioro, co świadczyło o sile krwi rodu del Valle i było powodem do przechwałek dla mojego ojca, ale utrzymanie tak licznej rodziny kosztowało mnóstwo wysiłku i pieniędzy, dlatego majątek stopniowo się kurczył.

Jeszcze zanim krajowa prasa nazwała chorobę po imieniu, ojciec wiedział, że chodzi o hiszpańską influencę, bo śledził na bieżąco wydarzenia na świecie. Umożliwiały mu to zagraniczne gazety, docierające do Klubu Jedności* z opóźnieniem, ale dostarczające więcej informacji niż miejscowa prasa, oraz radiostacja, skonstruowana własnoręcznie dzięki wskazówkom z podręcznika, która zapewniała mu kontakt z innymi radioamatorami. Z zakłócanego trzaskami i piskami nasłuchu na falach krótkich dowiadywał się o rzeczywistych spustoszeniach, jakich pandemia dokonywała w innych miejscach. Śledził postępy wirusa od samego początku, wiedział, że rozchodzi się niczym wiatr zagłady po całej Europie i całych Stanach Zjednoczonych, i doszedł do wniosku, że skoro doprowadził do tak tragicznych konsekwencji w krajach cywilizowanych, można oczekiwać, że u nas, zważywszy na bardziej ograniczone środki i większą ignorancję mieszkańców, będzie jeszcze gorzej.

* Club de la Unión (hiszp.) – elitarny klub działający w Santiago de Chile od 1864 roku do dziś, wzorowany na angielskich klubach dla dżentelmenów, będący miejscem spotkań towarzyskich i politycznych. Miał bar, restaurację, salę gier wyposażoną w stoły bilardowe i stoliki do pokera. Jego członkami mogli być tylko mężczyźni o odpowiednim statusie (pierwszą kobietę przyjęto dopiero w 2006 roku).

Hiszpańska influenza, którą nazwano krócej „grypą”, dotarła do nas z prawie dwuletnim opóźnieniem. Zdaniem przedstawicieli świata nauki ratowaliśmy się przed nią tak długo dzięki geograficznej izolacji, naturalnej barierze, jaką stanowią z jednej strony góry, z drugiej – ocean, a także dzięki łagodnemu klimatowi i oddaleniu, chroniącemu nas przed niepożądanym napływem zarażonych cudzoziemców. Lud natomiast przypisywał to interwencji ojca Juana Quirogi, do którego zanoszono modły podczas procesji mających zapobiec epidemii. To jedyny święty, którego warto czcić – mimo że nie doczekał się kanonizacji ze strony Watykanu – bo bije wszystkich na głowę pod względem świadczonych na użytek lokalny cudów. W 1920 roku wirus dotarł jednak i do nas, w pełni chwały i majestatu, z impetem, którego nikt nie mógł przewidzieć, obalając wszystkie teorie naukowe i teologiczne*.

Pierwszymi objawami choroby były uczucie przejmującego zimna, któremu nie dało się zaradzić, trzęsawka spowodowana wysoką gorączką, ból głowy, jakby ktoś ścisnął ją obręczą, pieczenie oczu i gardła oraz majaczenia chorego, który widział śmierć czekającą tuż przy łóżku. Skóra nabierała niebieskofioletowej, coraz ciemniejszej barwy, wnętrza dłoni i spody stóp robiły się czarne, kaszel uniemożliwiał oddychanie, krwawa piana zalewała płuca, ofiara jęczała niespokojnie, a wszystko to kończyło się śmiercią przez uduszenie. Najwięksi szczęściarze umierali po kilku godzinach.

Mój ojciec nie bez kozery podejrzewał, że w czasie wojny w Europie grypa spowodowała więcej ofiar śmiertelnych wśród żołnierzy stłoczonych w okopach, gdzie nie dało się uniknąć zarażenia, niż kule i gaz musztardowy. Równie okrutnie spustoszyła Stany Zjednoczone i Meksyk, by potem rozprzestrzenić się na Amerykę Południową. Gazety pisały, że w innych krajach zwłoki układano w stosy na ulicach niczym drewno na opał, bo brakowało czasu

* W rzeczywistości pierwsze przypadki grypy hiszpańskiej odnotowano w Chile w 1918 roku. Epidemia wygasła w tym kraju w 1921 roku, pochłonąwszy około 40 tysięcy ofiar śmiertelnych.

i wolnych miejsc na cmentarzach, by je pochować, że zarażona została jedna trzecia ludzkości i że liczba ofiar przekroczyła pięćdziesiąt milionów, ale doniesienia prasowe były równie sprzeczne jak przerażające pogłoski przekazywane z ust do ust. Zaledwie osiemnaście miesięcy wcześniej podpisano zawieszenie broni kończące straszną czteroletnią Wielką Wojnę w Europie, więc dopiero niedawno zaczęliśmy poznawać prawdziwy zasięg pandemii, ukrywany dotąd przez wojskową cenzurę. Żaden kraj nie podawał liczby ofiar po swojej stronie, tylko Hiszpania (która zachowała neutralność w europejskim konflikcie) rozpowszechniała informacje o chorobie, dlatego zaczęto ją nazywać „hiszpańską gripą”.

Wcześniej mieszkańcy naszego kraju odchodzili z tego świata z tych samych powodów co wszędzie, czyli notorycznej nędzy, nałogów, bójek, wypadków, skażonej wody, tyfusu i wieku. Był to naturalny proces, dający czas na godny pochówek, lecz kiedy zapanowała grypa, atakująca z żarłocznością tygrysa, musiano zrezygnować z pocieszania umierających i z pogrzebowych rytuałów.

Pierwsze przypadki odnotowano pod koniec jesieni w portowych domach uciech, ale nikt – z wyjątkiem mojego ojca – nie przywiązywał do tego wagi, bo umierały kobiety lekkich obyczajów, przestępcy i przemytnicy. Uznano, że to choroba weneryczna przywleczona z Indonezji przez przygodnych marynarzy. Szybko jednak okazało się, że nieszczęście ma charakter masowy i że nie można nadal zrzucać winy na rozwiązłość i beztroskie życie, bo choroba nie odróżniała grzeszników od cnotliwych. Wirus wygrał z ojcem Quirogą i przemieszczał się bez przeszkód, atakując zaciekle dzieci i starców, ubogich i bogatych. Kiedy choroba dopadła całą trupę teatralną i kilku członków Kongresu, brukowce ogłosiły początek apokalipsy i dopiero wtedy rząd podjął decyzję o zamknięciu granic i kontroli portów. Było już jednak za późno.

Nic nie dały msze odprawiane przez trzech księży ani woreczki z kamforą wieszane na szyi, by zapobiec zarażeniu. Nadchodząca zima i pierwsze deszcze tylko pogorszyły sytuację. Tworzono więc na gwałt prowizoryczne szpitale polowe na boiskach sportowych,

kostnice w chłodniach rzeźni miejskiej i kopano zbiorowe mogiły, gdzie trafiały zwłoki biedaków zasypywane palonym wapnem. Wiadomo już było, że choroba wchodzi przez nos i usta i że nie wywołuje jej ukąszenie komara ani żadne robaki w kiszkiach, w co wierzyło społeczeństwo, dlatego nakazano noszenie maseczek, ale ponieważ tych nie starczało nawet dla personelu medycznego, który walczył z zarazą na pierwszej linii frontu, reszta nie miała do nich dostępu.

Kilka miesięcy wcześniej głosami wschodzącej klasy średniej i robotniczych związków zawodowych wybrano nowego prezydenta, syna włoskich imigrantów urodzonego już w naszym kraju, wyznawcę postępowych idei*. Mój ojciec, jak wszyscy jego krewni z rodu del Valle, przyjaciele i znajomi, nie darzył go zaufaniem – prezydent zamierzał bowiem wprowadzić niezbyt odpowiadające konserwatystom reformy, a poza tym był przybłądą, który nie mógł się poszczycić kastylijsko-baskijskim nazwiskiem odziedziczonym po przodkach – zgadzał się jednak z metodami, jakie głowa państwa zastosowała, by przeciwdziałać katastrofie. Pierwsze rozporządzenie nakazywało zamknąć się w domach, by uniknąć zarażenia, ale ponieważ nikt go nie przestrzegał, prezydent wprowadził stan wyjątkowy, godzinę policyjną i zakaz przemieszczania się ludności cywilnej bez ważnego powodu, pod karą grzywny, aresztu, a często – chłosty.

Zamknięto szkoły, sklepy, parki i inne miejsca, w których zwykle gromadzili się ludzie, ale nadal działały niektóre urzędy, banki, transport drogowy i kolejowy zaopatrujący miasta, a także sklepy z napojami wysokokowymi, bo uważano, że alkohol w połączeniu z końską dawką aspiryny zabija zarazę. Nikt nie liczył zmarłych z powodu zatrucia tą mieszkanką, na co zwróciła uwagę ciotka Pía, która była abstynentką i w dodatku nie wierzyła w apteczne leki. Zgodnie z obawami mojego ojca policja nie radziła sobie z wymuszaniem posłuszeństwa i zapobieganiem przestępstwom, o pomoc w patrolo-

* Był nim Arturo Alessandri Palma, prezydent Chile w latach 1920–1924, 1925 i 1932–1938.

waniu ulic władze musiały więc poprosić wojsko, zasłużenie owiane złą sławą z powodu brutalności. To z kolei wywołało protesty ze strony partii opozycyjnych, intelektualistów i artystów, pamiętających masakrę bezbronnych robotników, w tym kobiet i dzieci, sprzed kilku lat, i inne przypadki, kiedy żołnierze rzucali się z bagnetami na cywili, jakby mieli do czynienia z obcym wojskiem.

Sanktuarium ojca Juana Quirogi wypełniło się wiernymi, którzy szukali tam ratunku przed gripą, i w wielu przypadkach udawało im się go znaleźć, choć niedowiarkowie (tych nigdy nie brakuje) argumentowali, że jeśli choremu starczyło sił, by pokonać trzydzieści dwa stopnie prowadzące do kapliczki na Wzgórzu Świętego Piotra, to znaczy, że był już zdrowy. To nie zniechęciło wiernych. Mimo że zakazano wszelkich zgromadzeń publicznych, spontanicznie zebrał się tłum, który – z dwoma biskupami na czele procesji – zamierzał przejść do sanktuarium, ale został rozproszony za pomocą kolb karabinów i wystrzałów. W niespełna kwadrans żołnierze zostawili na placu boju dwa trupy i sześćdziesięcioro troje rannych, z których jeden zmarł tego samego dnia wieczorem. Prezydent zignorował oficjalny protest biskupów i nie przyjął prałatów w swoim gabinecie. Odpowiedział im na piśmie za pośrednictwem swojego sekretarza, że „każdy, kto złamie prawo, zostanie surowo ukarany, nawet jeśli to będzie sam papież”. Nikt nie miał już ochoty na kolejną pielgrzymkę.

W naszej rodzinie nie było ani jednego zarażonego, bo jeszcze przed bezpośrednią interwencją rządu ojciec poczynił niezbędne kroki, kierując się doświadczeniami innych krajów w zwalczaniu pandemii. Skontaktował się przez radiostację z nadzorcą swojego tartaku – chorwackim imigrantem, do którego miał pełne zaufanie – i ten przysłał mu z południa dwóch najlepszych drwali. Ojciec uzbroił ich w strzelby, tak stare, że nawet on sam nie potrafił się nimi posługiwać, postawił przy wejściach na teren posesji i kazał pilnować, by nie wchodził ani nie wychodził przez nie nikt z wyjątkiem niego i mojego najstarszego brata. Polecenie okazało się

trudne do wypełnienia w praktyce, bo przecież nie mogli strzelać do domowników, by ich zatrzymać, ale sama obecność tych mężczyzn odstraszała ewentualnych złodziejasków. Drwale, którzy z dnia na dzień zostali uzbrojonymi strażnikami, nie mieli wstępu do domu. Spali na siennikach w wozowni, żywili się prowiantem, który kucharka podawała im przez okienko, i pili mocną wódkę dostarczaną im przez ojca bez ograniczeń razem z garściami aspiryny w celu ochrony przed zarazą.

Z myślą o własnym bezpieczeństwie ojciec kupił pochodzący z przemytu angielski rewolwer marki Webley, który sprawdził się w czasie wojny, i zaczął ćwiczyć strzelanie do celu na kuchennym patio, strasząc kury. Tak naprawdę bał się nie wirusa, lecz desperowanych ludzi. Nawet w normalnych czasach w mieście było mnóstwo nędzarzy, żebraków i złodziei. Gdyby zaś powtórzyła się sytuacja zaobserwowana w innych krajach – wzrosłoby bezrobocie, zabrakłoby żywności i wybuchłaby panika – nawet ludzie w miarę uczciwi, którzy dotąd ograniczali się do protestowania przed budynkiem Kongresu, żądając pracy i sprawiedliwości, dopuszczaliby się przestępstw. Podobnie było w czasach, kiedy bezrobotni górnicy z północy, głodni i wściekli, wdarli się do miasta, przywlekając tyfus.

Ojciec zrobił zapasy na zimę: kupił całe worki kartofli, mąki i cukru, olej, ryż, warzywa, orzechy, warkocze czosnku, suszone mięsa oraz skrzynki owoców i jarzyn na przetwory. Czterech synów, z których najmłodszy skończył niedawno dwanaście lat, wysłał na południe, jeszcze zanim szkoła pod wezwaniem Świętego Ignacego zawiesiła lekcje na polecenie władz, natomiast José Antonio został w stolicy, bo chciał się zapisać na uniwersytet, kiedy tylko świat wróci do normalności. Podróżowanie zostało zakazane, jednak moim braciom udało się złapać jeden z ostatnich pociągów pasażerskich, który dowiózł ich do stacji San Bartolomé, gdzie już czekał na nich Marko Kusanovic, chorwacki nadzorca tartaku. Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami miał ich posłać do pracy, ramię w ramię z miejscowymi nieokrzesanymi drwalami. Bez żadnej taryfy

ulgowej. Takie rozwiązanie pozwalało zapewnić im zajęcie i zdrowie, a przy okazji uniknąć kłopotów, jakich przysparzaliby, siedząc beczynnie w domu.

Mojej matce, jej dwóm siostram, Pii i Pilar, oraz służącym przykazano, żeby siedziały w domu i pod żadnym pozorem nie wychodziły na zewnątrz. Matka miała słabe płuca z powodu przebytej w młodości gruźlicy, a do tego delikatną budowę ciała – nie mogła ryzykować zarażenia się grypą.

Pandemia nie zmieniła zbytnio rutyny zamkniętego wszechświata, jakim był nasz dom. Główne drzwi wejściowe, rzeźbione w mahoni, prowadziły do wielkiego, ciemnego holu, z którego wchodziło się do dwóch salonów, biblioteki, oficjalnej jadalni, gdzie przyjmowano gości, pokoju bilardowego i jeszcze jednego, zamkniętego, nazywanego „biurem”, ponieważ stało tam kilka metalowych regałów wypełnionych dokumentami, do których od niepamiętnych czasów nikt nie zaglądał. Drugą część domu oddzielało od pierwszej patio wyłożone portugalskimi kafelkami, z nieczynną fontanną w stylu mauretańskim i mnóstwem donic z kameliami. Od tych kwiatów wzięta się nazwa posiadłości: Kameliowy Dwór. Wzdłuż trzech boków patia biegła przeszklona galeria z fazowanymi szymbami, łącząca pomieszczenia, z których korzystało się na co dzień: jadalnię, bawialnię, szwalnię, sypialnie i łazienki. Latem w galerii panował chłód, zimą było w niej dość ciepło za sprawą piecyków węglowych. Ostatnią część domu stanowiło królestwo służących i zwierząt, znajdowały się tam kuchnia, koryta do prania, składziki, wozownia i kilka nędznych klitek, w których spały pomoce domowe. Moja matka bardzo rzadko zaglądała do tych miejsc.

Posiadłość należała kiedyś do moich dziadków ze strony ojca; kiedy pomarli, okazała się jedyną cenną spuścizną, jaką zostawili dzieciom. Podzielona pomiędzy jedenastu synów, przedstawiała jednak dla każdego z nich niewielką wartość. Arsenio, który jako jedyny miał jakąś wizję przyszłości, zaproponował braciom, że odkupi ich części, spłacając je w niewielkich ratach. Początkowo traktowali

to jako przysługę z jego strony, bo ojciec wyjaśnił im, że stare domiszcze wymaga gruntownej przebudowy. I że nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby tam mieszkać, ale on potrzebuje przestrzeni dla swoich dzieci (także tych, które miały się jeszcze urodzić), teściowej (bardzo już leciwej) i siostrzyny (dwóch starych panien zdanych na jego łaskę). Stosunki z braćmi popsuły się, kiedy zaczął się spóźniać ze spłacaniem obiecanych rat, a w końcu zupełnie tego zaniechał. Nie zamierzał ich oszukać. Trafiły mu się po prostu okazje, na których mógł skorzystać finansowo, więc ryzykował, obiecując sobie, że spłaci ich łącznie z odsetkami, tymczasem mijały lata, a on ciągle przesuwiał terminy, aż wreszcie całkiem zapomniał o długu.

Faktycznie, była to rudera, ale parcela zajmowała pół kwartału i wchodziło się na nią z dwóch ulic. Szkoda, że nie mam zdjęcia, Camilo, bo tam zaczęły się moje życie i moje wspomnienia. Domiszcze straciło niegdysiejszy blask, jeszcze sprzed krachu gospodarczego, kiedy dziadek władał klanem licznych synów oraz armią służących i ogrodników utrzymujących w domu nieskazitelną czystość, a w ogrodzie raj pełen kwiatów i drzew owocowych, ze szklarnią, gdzie hodowano orchidee z innych stref klimatycznych, i czterema marmurowymi rzeźbami postaci z mitologii greckiej (zgodnie z ówczesnymi upodobaniami znamienitych rodów) wykonanymi przez miejscowych rzemieślników, którzy na co dzień ciosali kamienne płyty nagrobne. Starzy ogrodnicy pomarli, a nowi byli zdaniem mojego ojca bandą leni. „Jak tak dalej pójdzie, chwały pochłoną nam dom”, powtarzał, lecz nie robił niczego, by to zmienić. Kochał przyrodę, ale podziwiał ją z daleka; nie zasługiwała na jego uwagę, wołał spożytkować całą energię na sprawy bardziej dochodowe. Postępująca dewastacja posiadłości niezbyt go martwiła, zamierzał mieszkać tam, tylko dopóki będzie musiał. Dom nie przedstawiał żadnej wartości, za to działka była łakomym kąskiem. Planował ją sprzedać, kiedy osiągnie odpowiednią wartość, nawet gdyby miał na to czekać latami. Kierował się banalnym aksjomatem: należy kupować tanio i sprzedawać drogo.

Klasa wyższa przenosiła się stopniowo do dzielnic willowych, z dala od gmachów publicznych, targowisk i zakurzonych placów obsypanych przez gołębie. Domy takie jak nasz burzono pospiesznie, a na ich miejscu wznoszono biurowce i apartamenty dla klasy średniej. Stolica była i nadal jest jednym z najbardziej podzielonych pod względem klasowym miast świata; gdyby warstwy niższe śmielej zajmowały ulice uważane za główne od czasów kolonialnych, któregoś dnia ojciec musiałby przenieść rodzinę w inne miejsce, by nie stracić prestiżu w oczach przyjaciół i znajomych. Na razie na prośbę matki unowocześnił jedynie część domu, instalując elektryczność i sedesy, podczas gdy reszta dalej spokojnie niszczała.